KOŚCIUSZKO

RAPSOD KRÓLA DUCHA

KOŚCIUSZKO

RAPSOD KRÓLA DUCHA

K. Z.

ODBITO W DRUKARNI UNIW. JAG.
S. A. KRZYŻANOWSKI . KRAKÓW [illegible]

KOŚCIUSZKO

RAPSOD KRÓLA DUCHA

K. Z.

ODBITO W DRUKARNI UNIW. JAG.
S. A. KRZYŻANOWSKI · KRAKÓW 1904.

WAM

Smutni i pełni zwątpienia Rodacy!
Znajdźcie otuchę w tych pieśniach z za świata:
Niechaj Wam będą pobudką do pracy,
Niech Wam nadzieją serce zakołata,
Że nie będziecie, jak bez gniazda ptacy,
Bo duch wielkości często ku Wam zlata!
Myślą Kościuszki niech się serca wzniosą,
Błyśnijcie czynem, jak on — srebrną kosą!

I.

Umierać warto, kiedy z twardej ręki
Sto gromów spadło na przeklęte głowy!
Umierać warto, słysząc zgrzyt i jęki,
Jęki, co z piersi biegną kainowej,
Gdy krew się sączy z otwartej paszczęki,
A pierś przebita mrze z przekleństwa słowy,
Kiedy się widzi skroń kulą rozdartą...
Mieć taką chwilę — potem umrzeć warto! —

II.

Tak, były męże przed niedawnym wiekiem,
Co szli, śmierć siejąc, pod niewoli pęta.
A gdy kajdany zabijano ćwiekiem,
To twarz ich była tylko uśmiechnięta,
Bo to umarło, co było człowiekiem;
Dusza ich była jakby wniebowzięta...
Spełniony kielich, choć teraz dał męty,
Winem ofiernej krwi musiał być święty.

III.

Umarłych ojców żywe dzisiaj syny,
Ani wam marzyć o takiej potędze,
Co miecz stroiła w gorące rubiny,
Wołając Boga, żeby w prawa księdze
Zapisał one samsonowe czyny,
Nierówną walkę i pajęcze przędze,
Co bohaterów ramiona plątały...
Ani wam marzyć: duch wasz nadto mały!

IV.

Deszcz zmył z grobowców imiona walecznych,
I pordzewiały ich wierne szablice,
Ale na drogach ostały się mlecznych
Odbite wielkie mieczów błyskawice;
A Bóg na skroniach wypisał słonecznych:
»Ja ich zesłałem i nimi się szczycę!«
Czasem te słowa, gdy już słońce zgaśnie,
Błyszczą, nie dając nocy patrzeć jaśnie.

V.

Czasem te słowa przeczyta dziecina,
Kiedy się bawi szabelką blaszaną;
Wtedy coś sobie długo przypomina,
A potem szepnie: »Myśleć nie kazano«,
I cacko lśniące w zadumaniu zgina.
Słońce mgły kryją na drugi dzień rano,
I giną słowa w dzieciątka pamięci...
A mogił pyły wołają: »Przeklęci!«

VI.

Bóg krwi nie żąda, lecz za krew niewinną
Posyła gromy i przyjmuje chętny,
Jeżeli modłę ślemy Mu dziękczynną
Za karę wrogów... A kto niepamiętny,
Że mu pierś darto, że miał dolę inną,
Że mu podano napój hańbą mętny, —
Od tego Pan się odwraca ze wzgardą
I zsyła dolę jeszcze bardziej twardą.

VII.

Wtedy przekleństwo z ust leci tysięcy,
Porusza ziemię i mogiły z darni,
Zrywa się w górę, potężnieje więcej
I woła: »Niźli padalcowie marni
»Bardziejśmy podli w głupocie bydlęcej!
»Tak nas duchowie otoczyli czarni,
»Że się nie może tchem pokrzepić łono,
»Więc niechaj piekła całkiem nas pochłoną!«

VIII.

A słowa takie, jako garście gliny,
Na wierzch kryształnej upadają trumny,
Gdzie trup królowej, męką skonu siny,
Spoczywa, niby grecki posąg dumny,
I jękiem budzą spiekłych ran rubiny...
Powstają wtedy uśpione alumny
Nucić requiescat, bo umarłej oczy
Patrzą szeroko, ust lilia krwią broczy.

IX.

A ja, do trumny przykuty łańcuchem,
W piekielnym ogniu zdrady hartowanym,
Jak ptak królewski, z okiem z gniewu suchem,
Drżący porywam się ku ścianom szklanym,
Z zapartem tchnieniem patrzę całym duchem,
Czy pod szat zwojem, krwią zafarbowanym,
Potrójnem tętnem serce się nie ozwie,
Wołając sądu Boga w wielkim pozwie.

X.

Lecz tej nadziei brylantowe kwiaty
Miażdży kamienna cisza przedstworzenia
I czarność, jaką zgasłe mają światy...
Igraszką były dantejskie cierpienia,
Ochłodą były Dejaniry szaty
Wobec męczarni, co mnie opierścienia
Wężów oplotem i wnętrzności szarpie,
Jak nieśmiertelne głodne jęków Harpie.

XI.

Z za mgieł, co wiszą u niebiosów czoła
Jako zawoje kiru, słyszę w męce
Gromowe słowa wieków Archanioła,
Co wstęgę błyskań namotał na ręce:
»O, nie przekleństwo do życia powoła
»Umilkłe tętno; a zorzy rumieńce
»Nie prędzej padną na pobladłe skronie,
»Aż podłe serca pomrą w zdrajców łonie;

XII.

»Aż się narodu myśl tak rozanieli,
»Jak męczenników pierwszych na arenie,
»Aż staną wszyscy w takiej pragnień bieli,
»Jako gołębich skrzydełek jaśnienie.
»Wtedy Bóg oręż błyszczący rozdzieli,
»Zdejmie kajdany i wróci zbawienie...
»To, co za wątły proch mieli szatani,
»Jak proch ich trony zmiecie do otchłani.

XIII.

»Jakim orężem wróg złamany legnie,
»Nie nasze myśli. Może Bóg da spisy
»Jasne jak promień, gdy z ócz słońca biegnie,
»Z księżyców hełmy, z gwiazd tkane kirysy
»I różnobarwne tęcze w łuki zegnie. —
»A może tylko w dłonie da irysy
»I złote świece, i wzrok taki święty,
»Że martwy przed nim padnie ród przeklęty!

XIV.

»Lecz do tej chwili zbyt jeszcze daleko!...
»Duch musi wskrzesnąć przed dniem wyzwolenia
»I pod słoneczną rozkwitnąć opieką
»W lotos, co gwiezdne będzie mieć jaśnienia.
»Jeszcze się myśli w niewolnictwie wleką...
»Czasem się tylko jedna wypromienia,
»A jednej mało«... Milknie głos anieli;
Przed obłąkanym wzrokiem trup się bieli.

XV.

Raz, kiedy krwawiej zapłonęły blizny,
Szerzej się oczy bolesne otwarły,
Taki mi płomień rozpacznej trucizny
Rozgorzał w żyłach, że dotąd umarły,
Jak nieorany zagon niegdyś żyzny,
Dotąd bezsilny, jak spętane karły,
Sprężyłem ciało z tytanową siłą,
Aż się żelazo oków krwią zrosiło.

XVI.

Łańcuch zadzwonił o trumniane wieko
I z jękiem pęknął! Ha, znów byłem wolny!
Umarłą moją pod śmierci opieką
Bezpieczniem rzucał i, jak wicher polny,
W łachmanie zbroi, z której łzy krwi cieką,
Błyskawic lotem przez obszar padolny
Mknąłem na pola, gdzie moi husarze
Skrzydlate mieli odprawować straże.

XVII.

O, wieczna męko!... Pyłem zasypane
Widziałem grody, kozackiemi piki
Skłute sztandary, orły krwią zbryzgane,
Tańce upiorów wśród dzwonów muzyki
I narodowe stroje poszargane...
Słyszałem jęki i piekielne krzyki,
Widziałem ogniem opasane miasta
I czułem, jak mój duch we wściekłość wzrasta.

XVIII.

Widziałem suche szubienic szkielety,
Sterczące dumnie, jak golgockie krzyże,
Dymiące serca wbite na bagnety
Z ciałami społem, połamane spiże,
W świątyniach stajnie, w ołtarzach sztylety..
Jak pies, co rany krwią ociekłe liże,
Ległbym na progach tych, broniąc praw Boga!
Leciałem dalej... Inna była droga.

XIX.

Na polu, kędy grudy kości tlały,
Ani jednego nie było husarza.
Na wielkim stosie skrzydeł orzeł biały
Siedział i wzrokiem, co bólem przeraża,
Patrzył na ludzkich ciał i szablic wały
I był podobny do króla nędzarza,
Co płacząc siedzi na państwa popiołach,
Śniąc tylko jeszcze o zemsty aniołach.

XX.

Upadłem przed nim krzyżem rozciągnięty,
Patrząc się dziko w przygasłe źrenice.
Wzniósł senne skrzydła... Żelaznemi pęty
Były związane. Więc znów, jak chmurzyce
Dwie, spadły nizko, drgnął jęk-dzwon pęknięty:
»Syny w niewoli, córki niewolnice!«
Kurcz mnie za gardło ścisnął, pierś omdlała,
Białym mi płaszczem śmierć błysnęła biała,

XXI.

I w sen zapadłem. — We śnie przyszła do mnie
Ze szklanej trumny Pani ukochana.
Ach, oczy miała smutne tak ogromnie!...
W śmiertelny całun była przyodziana.
Gdym jej całował ręce bezprzytomnie,
Szybko przede mną padła na kolana,
I włosów złoto sypiąc mi pod nogi,
Jękła, jak harfa złamana: »Zgnieć wrogi!

XXII.

»Bądź znowu królem, a dzieciom wróć matkę,
»W sukmanę zamień płaszcz świetnej purpury,
»Zamiast korony włóż konfederatkę;
»Berłem ci będzie kosa. Rozmieć chmury
»Szeregów cara, zmiażdż tę klatkę,
»W której się rozsiadł ptak z pawiemi pióry
»I stamtąd jednem poruszeniem dłoni,
»Jak lawin bryły, dzikie hordy goni!«

XXIII.

Znikł sen i postać... Dzień rozświtał biały,
Rumieńcem zorzy cudnie malowany...
Kędyś ptaszęce dzwoniły hejnały.
Znikł mi z przed oczu step kościami siany;
W oddali kłosów pola połyskały,
Lecz się zbliżały ku mnie, jak dwie ściany,
Świecące srebrno... Wielki krzyk w niebiosy
Wybiegł z mej piersi, — to błyszczały kosy!.

XXIV.

Ludu mój, ludu! Ty w chłopskiej siermiędze
U mego stołu zawsze tak ostatni,
Ostatniś przyszedł w monarszej potędze
Sponiewierany bronić ogień chatni!
Gdy pękły bramy, byłeś jak wrzeciędze,
Których nie zmogli hajdamacy płatni;
Byłeś jak wielkich czynów podwaliny...
Aa! przed poczęciem umarły te czyny!

XXV.

Szli równo, cicho, jak białe anioły
Świętością sprawy swojej zadumane.
Wiatr wschodni sukman poodwiewał poły
I medaliki odsłonił blaszane,
Spojrzeniem słońca w blask srebra wesoły,
Niby gwiazdeczki nieb, porozpalane.
I rzekłem patrząc: »Jeśli nie dasz, Panie,
»Tym dni zwycięstwa — noc wieczna nastanie!«

XXVI.

Przodem szedł młodzian wyniosły zapałem.
Jakąś dziewiczość miał na smagłej twarzy,
Błękitne oczy w upojeniu śmiałem
Wzniósł, kędy słońce promienne się żarzy.
Loty piór moich ku niemu rozwiałem,
I jak kochanek, gdy pieszczotą darzy
Lubą dziewicę, w ramiona go wziąłem
I zdało mi się, żem jak on aniołem.

XXVII.

O piękna chwilo! nie zapomnę ciebie!
Spragnione piersi poiłaś nadzieją!
Choć potem znowu na strasznym pogrzebie
Łkałem, stargany śnieżystą zawieją,
Tyś zemście świętej narodzonej w niebie
Była litośną, dobrą Amalteją!
Myśl moja wtedy była wielką wróżką,
Że wieki dadzą ci nazwę: Kościuszko!

XXVIII.

Gołębie serce miał ten rycerz dzielny,
Myśli orłowe, duszę niebosiężną,
A był z miłością taki nierozdzielny,
Jak młot tytana z okową mosiężną.
Boże! Duch wieczny jest i nieśmiertelny, —
Ześlij raz jeszcze tę duszę potężną!
Niema dla Ciebie nic niepodobnego;
Tyś wziął, Ty możesz z martwych wskrzesić jego!

XXIX.

Może go w inne przyobleczesz ciało —
Widomych cudów lud ziemski się trwoży, —
Tylko mu, Panie, daj broń więcej trwałą,
Co stawi czoło niewoli obroży.
Ześlij raz jeszcze tę duszę wspaniałą,
Niech kryształową trumnę nam otworzy
I wyprowadzi stamtąd męczennicę,
Dając jej róży kolory na lice!

XXX.

Tyś mocen! Jako dałeś, że w całunku
Duch mój się wcielił w postać bohatera,
Żem stanął w białej siermięgi rynsztunku
Szczęśliw, jak święty, kiedy mu otwiera
Anioł świat widzeń w hostyi wizerunku
Czułem, jak dawny ból we mnie umiera,
A serce w piersiach tak mi zogromniało,
Że krwi dla tętnień było mu za mało!

XXXI.

Nigdy mi jeszcze tak lekko nie było.
Nie gniotła piersi stalowa kolczuga,
W kosie mej słońce tysiąc skier nieciło;
Była jak odblask meteoru długa.
Gdym nią nad głową mą wywinął z siłą,
Srebrnego światła polała się smuga
I jasnym kręgiem opasała głowę.
Wiatr szeptał: »Ramię masz Prometejowe!«

XXXII.

O Prometeju! mój los twego echem!
Jam na mej ziemi chciał ogień rozniecić,
I mnie to było policzone grzechem.
Nie wszędy wolno i orłowi lecieć!...
Żar siałem w piersi z chciwości pośpiechem,
Dziś zbladłem czołem muszę w niebo świecić,
Przykuty gorzej niżeli do skały,
A sęp rozpaczy rwie mnie rozszalały!

XXXIII.

Zanim nadeszła okropna godzina,
W półkrąg mnie wierni opasali moi.
Twarz k'nim zwróciłem: »W imię Ojca, Syna,
W tych siermięg białych nieochronnej zbroi
Niech śmiało walkę każdy rozpoczyna,
A niech w pokoju pójdzie, kto się boi!«
Odłączeń wielu z trwóg czekałem bólem...
Nie poszedł żaden! — Byłem szczęścia królem!

XXXIV.

»Niech żyje wódz nasz! Niech Ojczyzna wskrześnie!«
I całowali broń swą i Kościuszki.
A on się wtedy uśmiechnął boleśnie,
I łzy, jak białe konwalii kwiatuszki,
Z ócz mu padały... Może miał już we śnie
Przepowiadanie jakiej z piekieł wróżki.
Gniew mnie ogarnął, sykłem: »Nie bądź karłem!«
I łzy w więzieniu ócz jego zaparłem.

XXXV.

Łzy powrócone, jak krople ołowiu,
Padały na mnie wśród strasznych katuszy.
Jak wodne ptaszę, zczajone w sitowiu,
Myśl się zerwała i do jego duszy
Przypadła z krzykiem: »Bądź na pogotowiu!
»Niech wojsko twoje w dalszą drogę ruszy.
»Niemęska trwoga płącze ci ramiona; —
»Odważny zanim wątpić zacznie — kona!

XXXVI.

»Mężny się nawet mary nie przestraszy,
»Do widma śmierci kulą mierzy śmiałą;
»Tyś rycerz dzielny, tyś potomek laszy!«
I mocą ducha posiniałe ciało
Wnet mu królowej ukazałem naszej.
Spojrzał, — i tętno życia się wstrzymało.
Więc odwróciłem go dłonią przelękłą,
Bo chwila jeszcze, a serceby pękło!

XXXVII.

Straszne widzenie wróciło mu siły
I w piersiach zemsty roztliło zarzewie.
Nozdrza się wzdęły i brwi namarszczyły;
Równy Sobieskim był w tym świętym gniewie;
Oczy, jak gwiazdy dwie, się roziskrzyły.
Stanął przed wojsko i w szabli powiewie
Kazał się raźno szykować do drogi; —
Szmer przez szeregi biegł: »Idziem na wrogi!«

XXXVIII.

Poszli... Nim dalsze dzieje tu przypomnę,
Powiem o bytu mego dwoistości.
Prawa istnienia są, jak Bóg, niezłomne,
A ludzie wszyscy podobni do gości
W krainach ziemi. Żeby wiekopomne
Stały się czyny, pożary miłości,
Żeby myśl ziemi sięgała i nieba,
Jednemu ciału dwóch duchów potrzeba.

XXXIX.

A człowiek taki bywa ulubieńcem
Boga i nieba, światu jest podziwem,
A czyny jego płomienistym wieńcem
Skroń wieku zdobią, miłości łuczywem
Płonie mu serce, zapału rumieńcem
Malowne lica są odbiciem żywem
Stwórcy oblicza, gdy z światów chaosu
Ziemię w blask słońca rzucał — mocą głosu.

XL.

A myśli, myśli?! Te są jak promienie,
Fale i piany, i wichrów poświsty,
Jako wewnętrzne groźne ziemi drżenie,
Gdy się ma rozśmiać w słup lawy ognisty;
Jako Sahary piasków rozwichrzenie,
Albo jak taniec błyskawicy krwistej
Na ciele chmury ciemno-granatowej...
Otchłań! A mieszka Bóg w otchłani owej!

XLI.

Czasem już w dziecka błękitnej źrenicy
Wielkiej się duszy proroctwo objawia,
I myśl w marzenia tęczowej świątnicy
Na piedestale marmurowym stawia
Posąg rycerza, co trzyma w prawicy
Miecz i pochodnię... Z tęsknotą żórawia
Młodzieniec potem do tego rycerza
Wraca i miarę zdejmuje z pancerza.

XLII.

Czasem dopiero później duch przylata
I budzi serce lekkiem całowaniem;
Skrzydłami ducha bratniego oplata,
I od tej chwili wspólnem wędrowaniem
Idą w błękity przez świat i dla świata, —
Święci i wielcy Bożem rozkazaniem
Idą, a w jednem ciele uwięzieni,
Rwą się do walki i zwycięstw czerwieni.

XLIII.

Oto jest wielkie ludzi zagadnienie,
Czemu są nieraz tacy między nimi,
Co mają w oczach jutrzenne promienie,
I czemu tacy idą po tej ziemi,
Jakby proroków mieli objawienie,
I tak rzucają czyny potężnymi,
Jakby ich dłonie nie były człowiecze...
Smuga ognista za nimi się wlecze.

XLIV.

A jedni mają żelazne szyszaki
Ze śnieżną kitą, u wierzchu przypiętą,
A od ich mieczów na niebiosów szlaki
Tęcza odblasków w barw siedem jest zgiętą,
Jakby ją z ostrza anioł zesnuł jaki,
Mieniącą wstęgą, w fale rozwiniętą,
Rzucił pod nogi gwiazdy południowej;
I mają w dłoni sztandar purpurowy.

XLV.

A drudzy mają szaty złotem tkane,
Pokoju ciszę na wyniosłem czole;
Nie sieją śmierci oczy zadumane,
Przed nimi idzie przecudne pacholę
I bierze dźwięki, z strun liry czerpane,
I rzuca nimi na ludzką niedolę;
I szczęście idzie od proga do proga!...
A tacy ludzie we snach widzą Boga.

XLVI.

A byli tacy, przysądzeni z góry,
Co na skroń swoją wkładali koronę,
Chadzali w płaszczach z przepysznej purpury,
A lwią ich siłą mocarstwa wstrząśnione,
Jak sęp zwalczony z podartemi pióry,
Jak chmur rydwany wichrem rozmiecione,
Leciały w nicość — tacy brwi zmarszczeniem
Zabijać mogli, jak miecza błyśnieniem.

XLVII.

A byli jeszcze mężowie w ornatach,
Co u ołtarzów pochylali głowy,
A myśl ich często gościła w zaświatach;
Tam się krzepiła widzeniem Jehowy,
A potem w cudnych upadała kwiatach,
Zrodzonych z dźwięku ognistej wymowy.
A tłum słuchając padał na kolana,
A świat im tylko dał nazwę kapłana.

XLVIII.

A byli biedni w tej ziemi dostatki
I nic od braci nie chcieli, krom wiary,
I brać musieli z objęć grobów świadki,
Że są niewinni, i w chwilach ofiary,
Gdy hostyi świętej łamali opłatki,
Z przebitą piersią padali na mary...
A świętość idzie z ich imion wspomnienia,
A ku ich stopom ścielą się westchnienia.

XLIX.

I przyjdą jeszcze wieloma ścieżkami
Z niebiosów toni i ludzkiej miłości
Wielcy mężowie z jasnemi oczami,
A jak gołębie będą w sercach prości
I słowem cuda czynić będą z wami.
Świat jeden wstanie z dum waszych mnogości,
I wszystkie ludy w braterskim uścisku
W złamanych mieczów przejrzą się odbłysku.

L.

Bo krwi potoki, co chrzest ziemi dały,
Na karcie dziejów zbyt strasznie się znaczą.
I przyjdzie chwila, kiedy sztandar biały
Powieje w błękit, i wszyscy, co płaczą,
I wszyscy, którym pierś rwie się w kawały,
Już się przenigdy z bezdenną rozpaczą
Nie spojrzą w niebo: Bóg będzie wciąż razem
Żyjącą iskrą — nie pustym wyrazem.

LI.

O Panie, Panie! Daj te czasy prędzej,
Bo już nam dusza i serce omdlewa;
Bośmy tak biedni w oczekiwań nędzy,
Jak nadłamane ręką wichru drzewa;
Bo w myśl się wpiły szpony strasznej jędzy,
Bo nam arkanem los podły powiewa.
Zabrali ciało w niewoli obręcze,
Teraz myśl łowią w gmatwania pajęcze!

LII.

O Panie, Panie, bądź nam litościwy!
Bo taka boleść serca nam pożera,
Że ani pszenne radują nas niwy,
Ani też słońce, gdy oczy otwiera;
Żywot nasz nędzny i smutkiem tęskliwy,
A żałość nasza bezdenna i szczera...
Jak pokutnikom twarze nam zniszczały;
Duch nasz niewolą i łzami skarlały.

LIII.

O Panie, Panie, ześlij duchów moce!
Niechaj przypadną w czas zorzy złocistej
Do skroni, piersi, i myśli sieroce
Przemienią w ogień wiary wiekuistej!
Niech nam spokojne dni będą i noce,
Niech się ku gwieździe spieszym promienistej!
Ratuj nas, Stwórco! z kurczowym okrzykiem
Wołamy: byłeś i Ty męczennikiem!...

LIV.

Poszli... jarami i lasem i polem.
Słońce złociste płynęło po niebie.
Byli spokojni; jednak skrytym bólem
Drżało im serce. Patrzyli przed siebie
I ludzi smętnych spojrzeniem sokolem
Widzieli ziemię, jak ciała ich grzebie,
Widzieli sępów i kruków orszaki...
Czasem i mężnych sen ogarnia taki.

LV.

A potem, pragnień dzielnością zbudzeni,
Podnieśli głowy i oczy wysoko,
I zdało im się, że w wieńcach z promieni,
Jak tylko zdołał wzrok sięgnąć szeroko,
Po całej modrej eteru przestrzeni
Płynęły duchy; — zachwycone oko
Pytało: kto wy? — »My — stróże obrońce.
»Przyjdzie zwycięstwo, zanim zaśnie słońce!«

LVI.

I wielka w pierś ich wstąpiła otucha,
Wielka się w sercach zbudziła odwaga,
I jedność pragnień przejęła ich ducha.
Ani ich prawda nie straszyła naga,
Że, jak ogniwa rwanego łańcucha,
Padną niektórzy — śmierć się nie ubłaga!
Płonęły oczy, pulsowały skronie,
I coraz szybciej dążyli przez błonie.

LVII.

Przodem na białym ognistym rumaku
Jechał Kościuszko, a za nim konnica,
A dalej wężem po gościńca szlaku
Dążyli piesi — zapylone lica
I odzież była na każdym junaku, —
A na ostatku, niby błyskawica
Lub też komety warkocz iskrowłosy,
W promieniach słońca sunęły się kosy.

LVIII.

A w oddaleniu wzrok dostrzegał jeszcze,
Jak senne stado jakichś wielkich ptaków,
Armat sylwety. Szły szmery złowieszcze
Z łańcuchów tarcia... A z dalekich szlaków,
Jak pierwsze burzy nadchodzącej dreszcze,
Biegły tętenty pędzących kozaków,
Takt równy, mierny spokojnej piechoty...
Polacy dłońmi ścisnęli brzeszczoty...

LIX.

Niewielkie wzgórza pod Racławicami.
Po jednej stronie bór stoi ciemnawy,
A z drugiej ziemia spogląda skibami,
Co w czas spokoju czekają uprawy.
Pod kwietniowego słońca promieniami
Bój się rozgrywał pamiętny i krwawy,
A nasi dzielni, choć słabsi liczebnie,
Zwalczyli wroga. Uciekał haniebnie...

LX.

Czyli mam mówić, jak walczono wtedy?
Och, tobym musiał słowom moim nadać
Błyskawic blaski, i wężów czeredy,
Co lecą z świstem w splot śmierci się składać
Na dzielnej piersi olbrzyma Wenedy,
Słowem z błyskawic oświeciwszy, gadać.
Ujrzelibyście, jak w śmiertelnej walce
Weneda z piersi otrząsnął padalce.

LXI.

Przyszło zwycięstwo o zachodniej porze,
Purpurę stali zorzami zdwoiło.
Plamy krwi były na każdym ubiorze,
I każde serce podnieceniem biło...
Przyszło zwycięstwo w złocistym kolorze,
Bo się cudownie słońce rozzłociło
I polskie głowy w nimb świętych ubrało...
Królowa w górę skroń uniosła białą...

LXII.

Pobiegłem do niej, przypadłem skroniami
Do piersi, czułem podchwytując uchem,
Czy serce bije... Wolnymi taktami
Mówiło do mnie... W uciszeniu głuchem
Słuchałem, oczy błyszczały mi łzami,
Miłość mi wielka owładnęła duchem,
A bicie serca rzekło: »Jeszcze jedno
»Zwycięstwo takie, wskrzesicie mnie biedną.«

LXIII.

Ucałowałem kraj sukni i lotem
Biegłem na pole, a tam już, o Panie,
Trupy się tylko walały pokotem.
Jutro im mieli sprawić pogrzebanie.
A gdzież zwycięzcy?... Dziś, gdy myślę o tem,
Jęku nie jestem zdławić w piersiach w stanie!
Ach, oni poszli... radować się chatą,
A on, Kościuszko, pozwolił im na to!...

LXIV.

Ach, on powinien do nóg upaść panom,
Albo im gromy ubłagać na głowy,
Albo z trucizną chleb posłać tyranom,
Albo klątwami w wir rzucić ogniowy!
A on ustąpił, ustąpił szatanom,
Bo go związali jedwabnemi słowy.
Duch go odbieżał, on winien niewiele;
Tamte imiona przekleństwem spopielę!

LXV.

A zresztą, zresztą po co usta kalać,
Takiemi słowy eter wprawiać w drżenie?!...
Mogłyby duchy, co gwiazdy zapalać
Idą po niebie, — omdleć, a promienie
Słoneczne wieczna noc mogłaby zalać...
Bóg ich już wezwał na win rozsądzenie...
Ja powiem jeszcze: »A!... lepiej nie dożyć
»Chwili, gdy tacy zechcą znów się mnożyć!«

LXVI.

O, niechaj dobroć odrzucają wodze,
Jak ziół durzących mijają wyziewy.
Siła w twardości i rzucanej trwodze!
Litość dla mężów — to ostu zasiewy,
To wilcze jamy kopane po drodze,
To pogrzebowe nad żyjącym śpiewy...
Kościuszko serce miał litością tchnące
I umiał płakać... tu struny zamącę...

XLVII.

Ścichły strun jęki; zgodnie dźwięczą znowu...
Zwycięstwo progów dobiegło Warszawy.
Ach, jakąż suknię dać mojemu słowu,
Żeby opisać ten zachwyt, — tej sławy
Okrzyki gromkie?!... Jak jeleń, z parowu
Gnany przestrachem, tak wrogowie sprawy
Przed wielką wieścią uciekli, gdy śmiele
Kapłan ją w Farnym ogłaszał kościele.

LXVIII.

A w Sandomierzu, w chramie, na uboczy,
Kościuszko w Chrysta wzrok zatopił twarzy.
Pracował w sobie. To go blask otoczy,
To o zwycięstwie na dni wieczne marzy;
To znów zwątpienie myśli mu zamroczy
I dreszczem przejmie. Wszak niema husarzy,
Co z skrzydeł szumem spadali, jak sępy,
Na zatrwożone moskiewskie zastępy.

LXIX.

I mężnych mniej dziś, i silnych niewiele;
Gardłować tylko każdego zasługą.
Stawiają sobie niebotyczne cele
I w proch je sami miecą niezadługo;
Prawdziwa cnota kryje się nieśmiele
Albo też ginie pod krwi własnej strugą.
I zgody niema... A mężni kmiotkowie
Poszli. Wzrok Chrysta spoczął mu na głowie.

LXX.

I jako słońce porankowe z wiosną,
Rozbudza w krzewach przeczucie istnienia,
Tak i nadzieja dłoń kładła miłosną
Na sercu wodza... Znów przyszły marzenia,
Że wszystkie trwogi i nieszczęścia posną...
A po marzeniach przyszedł szał pragnienia
I pierś rozpalił ogniem do zwycięstwa;
A Chrystus patrzył i nie bronił męstwa.

LXXI.

Jak gwiazda, kiedy o wieczorze wschodzi
I wróży nocy pogodę i ciszę,
Tak myśl, że Polska w sobie się odrodzi,
W sercu Kościuszki cudnie się kołysze
I mówi: »Przyjdą bohaterzy młodzi,
»Których imiona czas złotem zapisze,
»I dni szczęśliwych pocznie snuć się wątek...
»A może ja mam stworzyć im początek?...

LXXII.

»Może, na moje zaklęwszy się imię,
»Pochwycą szable i koni dosiędą,
»Sztandarem białym wiejąc w sinym dymie,
»Na wrogów, jako orły, lecieć będą.
»Bóg ten ich zapał, jak modlitwę, przymie,
»A dla potomnych nie piękną legendą,
»Ale posągiem wyrosną z żelaza;
»A nigdy na nich nie postanie skaza.

LXXIII.

»Tak. Naprzód trzeba iść z świętym zapałem
»I chłodne dusze rozgrzewać do czynu.
»Nie jeden przecież na ziemi zostałem,
»Nie do mnie tylko Polska woła: Synu!
»I inni sercem poświęcą się całem,
»I krwi nie będą żałować rubinu,
»Tylko ich trzeba w jeden łańcuch spoić;
»Nie dać mu nigdy, nigdy się rozdwoić!«

LXXIV.

A ja mu wtedy szeptałem do ucha
Lekko, jak wietrzyk, gdy lilii kwiat pieści,
Że brat go każdy pojmie i posłucha,
Że jego słowa pełne wielkiej treści,
Choć proste, będą pokarmem dla ducha
I z mąk ojczyzny przyniosą im wieści;
Że je zrozumią i posłyszą w sobie
Wołanie: »Walczcie, bo zimno mi w grobie!«

LXXV.

Teraz Kościuszko skroń chyli w pokorze,
W szeptanych modłach prosi wspomożenia.
I już się widzi, jak ponad głów morze
Na koniu białym w czas zorzy błyśnienia
Daje rozkazy... »Dopomóż mi Boże!«
Raz jeszcze usta mówią wśród westchnienia.
Wstaje i silny ufaniem z kościoła
Idzie... Bóg za nim posyła anioła. —

LXXVI.

Szlakiem wesela od wioski do wioski
Płynie radosna wieść pełna nadziei, —
To uniwersał: »Przy pomocy Boskiej
»Od dzisiaj wieśniak nie jako zwierz w kniei
Dni trawić będzie.« — Złocistemi zgłoski
Do praw człowieka z niewoli rozchwiei
Woła wódz wielki, — lud wielbi go za to.
Miłość serc czystych wielką jest zapłatą.

LXXVII.

Pierwszy to człowiek z tych, co władzę mieli,
Pierwszy to człowiek od dni Kazimierza
O szczęście ludu troszczyć się ośmieli
I po to szczęście pewnym krokiem zmierza.
inni rozpacz i nędzę widzieli,
Ale niechcieli dla sławy pancerza
Dać nazwy: »Wolny« — ludowi przy roli.
Podli! Tak powiem, choć słowo to boli!

LXXVIII.

Słowa rozkazów krążeniem jaskółki,
Pomiędzy kmiecym zwijały się ludem.
Wszystkie zapały ze skrzętnością pszczółki
Niosłem Kościuszce. Wreszcie jego trudem,
Uformowano nowe dzielne pułki;
Ale zwyciężyć mogli chyba cudem.
Bo na cóż zda się największa odwaga,
Kędy liczebnie potrójna przewaga?!

LXXIX.

To Szczekociny! Jak ongi w arenie,
Przeciwko zgrai tygrysów wpuszczeni
Z małym sztyletem na pewne stracenie,
Szli chrześcianie, tak w krwistej czerwieni
Szli nasi dzielni... Rozbudzał zdumienie
Szał ich odwagi... Wrogowie, cofnieni
Trzy razy, w swoje zwątpili zwycięstwo,
A jednak ono, gdzie siła, nie męstwo. —

LXXX.

Więc z pola walki uchodzić musiano...
Sam wódz pozwolił: zgubę widział pewną.
Chcieliśmy chociaż, gdy życie szarpano,
Sztandarów naszych całe unieść drewno,
Materyi szmatę, choćby potarganą.
Przegrana nasza twarzą z bólu gniewną
Nie dała wrogom i chwili radości...
Zasiano pola siejbą ciał i kości!

LXXXI.

Ta krwawa bitwa, ta, zda się, przegrana
Inaczej była widziana z błękitów,
Inaczej w księdze złotej zapisana.
Padliśmy niby od roju moskitów;
Do serca każda dosięgnęła rana.
Bóg na to patrzał z świecących gwiazd szczytów,
Wszystkie krwi naszej policzył kropelki;
Wir planet szemrał: »Ten naród jest wielki.«

LXXXII.

O, potomkowie tamtych, co pomarli,
Tu Kościuszkowe przypomnę wam słowa:
Choćby wam wszystko na świecie wydarli,
Powstanie Polska na popiołach nowa,
Jeżeli tylko duch wasz się nie skarli
I wolnym będzie. W tej myśli się chowa
Treść dążeń waszych, dewiza i hasło.
Dążcie, bo słońce jeszcze nie zagasło! —

LXXXIII.

W Warszawie trwoga. Zda się, każde serce
Pędzących koni odczuwa tętenty.
Cieszą się skrycie podli przeniewierce...
W Warszawie trwoga. Czas ofiary świętej
Zbliża się, zbliża... W okropnej szermierce
Łańcuch niewoli, rdzą jeszcze nie zdjęty,
Może opadnie, a może się ścieśni.
Oczy za Wisłę wciąż patrzą boleśniej.

LXXXIV.

I w czas wieczoru brunatnem mrowiskiem
Oblegli miasto, jak wąż siedmioskręty.
Do wałów przylgli ciałem armat ślizkiem
I nad głębiną fali, strachem zdjętej,
Krwawym płaszcz nocy przybrali ogniskiem.
Na niebie chmurzyc płynęły okręty.
O, wtedy trwogi już niebyło w mieście:
Zdławił ją okrzyk: »Broń i życie nieście!«

LXXXV.

Więc się do szturmu szykowano śmiało.
Podążał każdy: i młody i stary;
Niejedno serce omdlałe zadrgało;
Na smukłych drzewcach stanęły sztandary,
Na zamku orzeł piersią błyszczał białą.
A w każdym domu narady i gwary,
W każdej świątyni błagających tłumy...
Tam w górze płynął duch smutnej zadumy.

LXXXVI.

Kościuszko mimo placówki i straże
Do zagrożonej przedarł się stolicy.
Wielką radością rozbłysnęły twarze;
Biegł krzyk wesela po każdej ulicy:
»Teraz się chwała Kościuszki okaże.
»Pójdziemy walczyć, chociaż bez zbroicy!
»Teraz już nędzny, kto się wzięcia trwoży:
»Kościuszko z nami, z Kościuszką duch Boży!«

LXXXVII.

On wódz, dyktator, a w szarym ubiorze,
Jaki poddani w dni powszednie noszą,
Dawał rozkazy i w spraw trudnych morze
Z nurka zwycięzcy rzucał się rozkoszą.
Choć toń zawrotna, wszak wyłowić może
Perły... O perły w czas modlitwy proszą
Nawet królowie... więc niezmordowany
Kosy naostrzał i liczył sukmany.

LXXXVIII

A za murami kamienic, za wały
Ciche się szepty poczynały szerzyć:
»Jest, jest podobno... straże nie wstrzymały.
»Jeden, a łatwiej tysiące uśmierzyć.
»A lach to mały, a bezczelnie śmiały!
»Ot, w łeb takiemu, co, warto uderzyć?«
Ale od onych pocisków strzegł wtedy
Bóg....

LXXXIX.

Ostatnie jednak wysiłki już były.
I oczy gasną, gdy serce omdlewa.
Oczy się nasze do zwycięstw paliły,
I piersi ognia wstrząsała ulewa,
Ale się w serca tępe gwoździe wbiły —
Myśl, co się śmierci i grobu spodziewa.
Czemuż ich wtedy nie wiodło wołanie,
Że i po śmierci jest zmartwychpowstanie!

LXL.

Lecz były... były chwile błyskotliwe,
Co z za chmur dymu świeciły mieczami,
I były krzyki mocą ducha żywe,
I krew płynęła pomiędzy palcami.
Noc sianą kośćmi oglądała niwę,
Złoconą cicho księżyca blaskami,
Kule, szczęk broni, granaty lecące,
Aż niebo bladło, aż mroczniało słońce. —

LXLI.

Był szturm sierpniowy, godzina straszliwa.
Mało się niebo nie zmieniło w płomię...
Tam się huk armat grzmotliwy odzywa,
Tu świszczą kule w dymach niewidomie,
A nad walczących wołanie się zrywa:
»Raczej śmierć w gruzach, niźli życie w sromie!«
Ich walka była straszna krwią tajemną,
I zwyciężyli w noc krótką a ciemną.

LXLII.

»Ojczyzna swemu obrońcy« — w nagrodę
Srebrne pierścienie Kościuszko rozdaje.
Śmiały się wtedy szczęściem twarze młode,
I myśli w marzeń podążały kraje,
Śniły zefirów wiewy i pogodę...
Marzeniom promyk krótkie życie daje,
A tęczy uśmiech najczęściej je rodzi...
A giną wszystkie, gdy słońce zachodzi.

LXLIII.

Szturm zmilkł... Odeszli... Teraz inna praca...
Teraz Dyktator plan dalszy obmyśla,
Bunty uśmierza i żołdy wypłaca,
I złe imiona z pamięci wykreśla.
I nad Warszawą niebo się wyzłaca.
Lecz chmury czarne suną się z Zawiśla...
To Suworowa kieł pobłyska wilczy:
Wąsy przygryza, łup liczy i milczy.

LXLIV.

Trzeba ratować, iść na grzechotniki!
Kościuszko zbiera proporce i zbroje,
Rozdaje miecze i formuje szyki.
Ręce mu wtedy pomagały moje;
Nocą szeptałem: »Zwalczysz napad dziki!
»Ja ci wymodlę na ramiona twoje
»Pancerz« On mówił, wzrok wzniósłszy do nieba:
»Nie mnie jednemu, wszystkim go potrzeba!«

LXLV.

Za gwiazd opale, komet amaranty
Lekko się wzniosłem Tam, na drodze mlecznej
Wykwitły chmurki w srebrzyste akanty;
Dał im świetlistość ruch życia odwieczny.
Za niemi planet czerniły się kanty,
Bo jeszcze blask ich nie obwiał słoneczny.
Na wielkiej, ciemnej bryle wsparłem stopy
I jąłem prosić... Drgnęły nieba stropy.

LXLVI.

Drgnęły... Raz jeszcze... Gwiaździste obszary
Fal wibrowanie wstrzęsło mocą głosu,
Co twarz mą rzucił w proch planety szary...
W ogniu błyskawic, wśród gromów chaosu
Szły słowa innej, niźli zwykłe, miary
I uderzyły we mnie nakształt ciosu:
»Nie wszystkim moja pomoc przysądzona!
»Płaszcz mój z nich spada: za małe ramiona!«

LXLVII.

Omdlałem... Kiedy otwarłem źrenice,
Już dobre duchy niosły mnie ku ziemi,
A miały wielce zasmucone lice.
Aż mnie złożyły dłońmi łagodnemi
Na polu... Były to Maciejowice.
Błyszczała w dali wstęgi srebrzystemi
Wisła... Na wzgórzu obóz szumiał życiem...
Szukać Kościuszki szedłem z serca biciem.

LXLVIII.

Znalazłem! Oczy pełne miał czuwania.
Z wielkiej miłości słodyczą niewieścią,
Jak srebrna chmurka, gdy księżyc osłania,
Takem go tulił... »Z jaką wracasz wieścią?«
Pytał duch jego w ciszy zadumania;
A moje oczy błyszczały boleścią.
Cóż powiem? Jedno: »Nadzieją żyj zawsze.« —
Miał oczy bardziej świetliste, bo łzawsze.

LXLIX.

Noc przyszła. Krótki spoczynek żołnierza:
Rankiem cień krwawy słońce zakryć może.
Śpią, ale słyszą, jak serce uderza...
Oczy im pierwsze roztwierają zorze.
Szukają miecza; woda pierś odświeża,
A usta szepczą: »Dopomagaj Boże!«
I znamię krzyża na ramiona kładą,
I widzą czasem w oddali śmierć bladą. —

C.

W on dzień powstało słońce purpurowo;
Żółknące drzewa zażegło płomieniem,
Krwią zabarwiło toń Wisły stalową,
Na rdzawych trawach rosy rozperleniem
Drżało... O cudzie! w kroplę rubinową
Żałośnem słońca młodego spojrzeniem
Każda się rosy zmieniła kropelka.
Nie szumiał wicher... Cisza była wielka.

CI.

Świsnęła kula: Moskal bój zaczyna.
Na wzgórku nasza stanęła piechota.
Bogarodzico, ratuj nas jedyna!...
Jako na rzece kra w słońcu migota,
Tak pik kozackich błysnęła lawina.
A słońce siało potokami złota,
I krew trysnęła w rubinu fontanny,
A jam się modlił do Najświętszej Panny!...

CII.

Raz... dwa... odparci! Może Bóg dozwoli!.
I znów kozactwo na koniach się wspięło;
Kopyta biją w czarne piersi roli,
Armatnim hukiem powietrze stęknęło,
I naszych chmura bagnetów okoli...
Błyskawicowe rozgrywa się dzieło.
Jezusie, Maryo! świst, szczęk i krwi rzeka...
Wodzu, ratunku! piechota ucieka!...

CIII.

Już pod Kościuszką dwa rumaki padły;
Na trzecim pędzi wydawać rozkazy.
Straszny jest... Bólem lica mu pobladły...
Och, ta odwaga wzruszy nawet głazy!
Och, onby walczył i z piekła widziadły!
Kędy przeleci zdwajają się razy...
Wtem błysk i cisza... I omdlałe ciało
Ze spienionego rumaka leciało...

CIV.

Tak, Panie Boże, i jam upadł wtedy!
Nie dałeś ginąć nam w tatarskiej chmurze,
U Jasnej Góry rozbiły się Szwedy,
Kozactwo znikło w krwi własnej purpurze,
Sobieski Turków rozpędził czeredy,
A teraz... Boże! Tyś się schował w górze
Za gwiazd zasłony! Bóg wzrok posłał ku mnie
Spojrzałem wokół... Ja byłem przy trumnie!...

CV.

Jego powieźli do pysznej stolicy,
Gdzie w nurty Newy Piotr kamienny skacze;
Jego powieźli przed oczy carycy,
Dali mu mękę i życie tułacze.
A ja wciąż patrzę w zbawienia tęsknicy
W królowę senną, pierś szarpię i płaczę.
Lecz wam, sieroty, wam, synowie moi,
Ni rozpacz głucha, ni płacz nie przystoi.

CVI.

Wam działać trzeba! Więc biodra przepaszcie
I oczy wasze ostrzcie o brzeg słońca;
I sercom waszym miłośnie bić każcie.
A gdy was fala okrąży pieniąca,
To łódź budujcie... Na najwyższym maszcie,
Pochodnia wiary niech deszcz iskier strąca;
Dążcie odważnie przez burze i cienie
Na brzeg, przy którym znajdziecie zbawienie.

CVII.

Ach, gdyby można krok każdy oznaczyć,
Wskazać wam drogę i wyliczyć wiry,
I wątpiejące serca przeinaczyć;
Zedrzeć z nich niemoc — szaty Dejaniry,
I wszystkie smutne chwile wytłumaczyć,
Zmienić ich myśli w dymy wonnej miry...
Tobym się chętnie zgodził po raz wtóry
Przechodzić mego istnienia tortury.

CVIII.

Nie można!... W chwili, gdy się pieśń przerywa,
Rzucam wam, bracia, akord — serce moje.
Jego tętnienie niechaj was przyzywa
Na wiekopomne a zwycięzkie boje.
Przez nie królowa mówi nieszczęśliwa,
Przez nie umarłe wam szeptają woje:
»Duch miejcie wolny, szczytny i orłowy,
»A jęk się zmieni na hymn narodowy!«

CIX.

To mego smutku był już śpiew łabędzi.
Jeżeli przyjdę, to hejnał zadzwonię;
A lirę oprę na słońca krawędzi,
A oczy wasze zachwytem rozpłonię...
Jak halny wicher, pieśń moja popędzi,
Na twarz upadnie przy królewskim tronie.
A potem wstanie i już bez skończenia
Będzie wam dźwięczeć hymny wybawienia!

PISANO WIOSNĄ I LATEM W DNI SŁONECZNE I NOCE GWIAZDZISTE, ROKU PAŃSKIEGO TYSIĄC DZIEWIĘĆSETNEGO DRUGIEGO.